NR. 12 NIEDZIELA, 21 CZERWCA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



Wakacje

Już zeszyty i książeczki
Pochowały się do teczki.
Nie wyścibią nawet nosa!
Patrzę na nie już zukosa,
Bo skończyła się nauka,
Każdy odpoczynku szuka!
To też w pola, to też w lasy
Wyruszamy na wywczasy.
A więc, chłopcy i dziewczęta,
Już swoboda rozpoczęta!

Sława.

Matka Romusia

Bawiły się dzieci w szkole na podwórku. Rozmawiały.

Chwaliły się dzieci pomiędzy sobą tem, co kto ma najlepszego, z czego kto jest najdumniejszy.

Franek mówił:

— Mój ojciec pracuje w takiej wielkiej, wielkiej fabryce — pali w takim ogromnym, ogromnym piecu, w którym topi się żelazo. Aha!

Tadek mówił:

— A mój ojciec jest motorniczym. Mojego ojca każdy tramwaj słucha i tam jedzie, gdzie go mój ojciec skieruje!

I powiedziała Fela:

— A mój tatuś jest doktorem w kasie chorych i leczy wszystkich waszych tatusiów! Aha!

— O! — zaperzył się Mundek — ale ten dom, w którym jest kasa chorych, to mój ojciec budował, bo mój ojciec jest murarz!

Mały Romek stoi z boku. Słucha... słucha... Serce mu bije z całych sił, tak bardzo chciałby też być dumny ze swego ojca, ale... ale Romuś nie ma już ojca.

Już, już wielkie łzy upokorzenia napływają do piwnych oczu... Nagle, radosny uśmiech osusza mokre rzęsy Romka:

— A moja mamusia sprzedaje na ulicy kwiaty! I bez i narcyze! i tulipany!

— g —



ZAGADKA

Jestem pudełeczko ulepione z gliny.
Dostał mnie Juleczek na swe imieniny.
Odtąd codzień tak go proszę:
— Zbieraj Julku drobne grosze.
Z groszy będzie cały złoty...
Ze złotego sto się złoży!...
Kto oszczędza po grosiku,
Bogaci się, nie uboży.
Tak to mądrze radzę, choć stoję w kąciku.
A jak się nazywam?—zgadnij czytelniku?

—g—



Ukryty skarb

Gdy stary Jan umarł, najbliższa jego sąsiadka, Wojciechowa, niezmiernie żałowała, że wraz ze staruszkiem nie pochowano jego ulubionej stroki.

— Powiadam wam — mówiła do każdego, kto chciał ją słuchać, — że nieboszczyk miał do czynienia z nieczystą siłą i umiał zły urok rzucić na człowieka, a zaś ten przeklęty ptak jest stokroć gorszy od swego pana. Ile razy przefrunął koło mnie, zawsze spotykało mnie jakieś nieszczęście: za pierwszym razem odleciał mi obcas od dobrego jeszcze trzewika, za drugim zgubiłam złotówkę, a niedawno wreszcie potknęłam się i zbiłam cały tuzin świeżutkich jajek. Najlepiej ukręcić łeb temu paskudnemu stworzeniu, żeby nie łaziło po Bożym świecie.

Gdy po pogrzebie przetrząśnięto chatę Jana i nie znaleziono w niej ani grosza, Wojciechowa nie omieszkała obwiniać o to nienawistną srokę:

— To niemożliwe, by człowiek, który prawie przymierał głodem i wszystkiego sobie odmawiał, nie pozostawił żadnego majątku! Przysięgłabym, że to to przeklęte ptaszysko wyniosło gdzieś jego pieniądze i djabelską mocą stopiło, jak nieprzymierzając młodą słoninę.

Stary Jan nie posiadał bliskiej rodziny, a jedyny jego krewny i spadkobierca, syn starszej siostry, przed laty udał się do Ameryki, gdzie podobno dorobił się znacznego majątku. Gdy więc zawiadomiono go o śmierci wuja, nie śpieszył się z zagarnięciem spadku, składającego się ze starej nawpół walącej się chaty i kawałka pola.

Po zamknięciu przez władze domku nieboszczyka, biedna sroka umieściła się na słomianej strzesze i całemi dniami wrzeszczała żałośnie. Trudno było odgadnąć, czy w ten sposób wyrażała żal po swym opiekunie, czy też skarżyła się na okrutny los, który pozbawił ją jej dawnego, ciepłego kącika.

Wojciechowa zatykała sobie uszy, by nie słyszeć wrzasku sroki i przepowiadała

z największą pewnością, że krzyki te sprowadzą na okolicę całą serję nieszczęść, podobnych do 10 plag egipskich.

Ponieważ przypisywała sroce jakąś tajemniczą moc, sama nie miała odwagi wyrządzić jej krzywdy, podburzała jednak łobuzów do znęcania się nad opuszczonym ptakiem. Znalazło się w wiosce kilku okrutnych wyrostków, którzy, zachęcani przez nierozsądną kobietę, zabawiali się chętnie rzucaniem kamieni w siedzącego na dachu ptaka.

Tylko dwunastoletni Michaś, syn wioskowego szewca, nigdy nie przyjmował udziału w tej okrutnej zabawie i starał się przekonać swych rówieśników, że nie należy pastwić się nad słabem i bezbronnem stworzeniem. Niestety, uwagi jego pozostawały głosem wołającego na puszczy.

Pewnego wieczoru Michaś, wracając do domu, znalazł koło opuszczonej chaty zmarłego Jana biedną srokę, leżącą na ziemi. Piórka miała nastroszone, główkę zwieszoną bezwładnie, a z jednej łapki sączyła się krew.

Litościwy chłopiec pochylił się nad rannym ptakiem, nie śmiał jednak wziąć go na ręce, gdyż sroka znaną była z tego, że nikomu, prócz swemu panu, nie pozwoliła się dotykać.

— Jeżeli cię poruszę, napewno udziobiesz mnie boleśnie, a przecież ja nie chcę zrobić ci nic złego — szeptał Michaś. — Ale skąd, biedna sroko, możesz wiedzieć o moich zamiarach i odróżnić mnie od tych łobuzów, którzy stale tak cię mordują — dodał, poczem nakrył chusteczką od nosa bezwładnego ptaka i ostrożnie zaniósł do mieszkania.

— Co nam przynosisz, synu? — zapytał szewc.

— Spadek po starym Janie — odparł, śmiejąc się, Michaś.

Położono srokę na derce w kąciku, by wyleczyła się sama, gdyż nikomu z domowników nie pozwoliła zbliżyć się do siebie i, pomimo tego, że obchodzono się z nią łagodnie, pozostała nadal dziką i nieufną.

— Nie zrobiłeś dobrego nabytku, przynosząc tę srokę do domu — mówił szewc od syna. — Nie daje się obłaskawić i wcale nie ma chęci zastąpić swego dawnego pana.

Szewc miał rację, gdyż sroka niezwykle przywiązaną była do Jana, nie opuszczała go ani na chwilę, towarzyszyła mu wszędzie, drepcząc koło niego, fruwając nad głową, lub odpoczywając na jego ramieniu.

Wojciechowa, dowiedziawszy się, że Michaś przygarnął znienawidzoną srokę, nie szczędziła swego oburzenia i przy każdej sposobności czuła się w obowiązku ostrzec chłopca:

— Coś ty najlepszego zrobił, moje dziecko! Wcielonego w srokę djabła wpuściłeś do domu. Pamiętaj byś tego kiedyś nie pożałował ciężko!!

Lecz Michaś nie wierzył, by dobry uczynek mógł sprowadzić nieszczęście, a to że ojciec coraz mniej miał roboty i babunia leżała sparaliżowana, nie przypisywał obecności ptaka w domu.

Po tygodniu sroka wyzdrowiała, lecz powłóczyła złamanem skrzydłem i nie mogła więcej fruwać. Gdy jednak poczuła się dość silną, opuściła dom szewca i powróciła dopiero wieczorem.

— Ciekaw jestem, gdzie sroka spędziła całe popołudnie? — mówił szewc. — Przypuszczam, że poszła do swego dawnego mieszkania... Przypilnuj ją kiedy, Michasiu.

Następnego dnia Michaś opuścił dom



jednocześnie ze sroką i szedł za nią w odległości kilku kroków.

Szewc nie mylił się: podskakując i powłócząc złamanem skrzydłem, sroka udała się do chaty Jana.

Zapukała dziobem w zamknięte drzwi, obeszła dom cały, znów powróciła na próg, zapukała kilkakrotnie i siedziała bez ruchu, jakby czekając na otworzenie.

Ponieważ w chacie nie było nikogo i nikt nie odpowiedział na jej pukanie, sroka po pewnym czasie w dalszą udała się drogę.

Podskakiwała teraz po wąskiej ścieżynie, porośniętej trawą, która prowadziła do kamieniołomów.

Od dłuższego czasu były one zupełnie opuszczone, nikt tam nigdy nie przychodził, więc woda wypełniła wgłębienie, a dzikie rośliny i chwasty wyrosły w szczelinach pomiędzy głazami.

Sroka szła z taką pewnością, że nie trudno było się domyśleć, że idzie po znanych jej dobrze miejscach i podąża do pewnego celu. Zaszła wgłąb kamieniołomów, ominęła dość duży zbiornik wody i nagle zniknęła w zagłębieniu, zarośniętem wysokim ostem.

Po chwili ukazała się, kręciła na jednem miejscu, rozglądała wokoło siebie, zabawnie kiwała główką i znów się skryła.

Michaś ogromnie ubawił się obserwowaniem mądrego ptaszka i wieczorem wszystko opowiedział ojcu.

— Jestem przekonany — rzekł szewc — że sroka ma gdzieś swoją skrytkę. Gdybyś poszedł za nią, prawdopodobnie znalazł byś w jakiem kącie stos kamyków, guzików, kawałki żelastwa i szkła — słowem cały skarb sroki.

Michaś przez cały wieczór rozmyślał nad słowami ojca, a gdy położył się do łóżka, wyobraźnia jego stwarzała przeróżne fantastyczne obrazy: widział najpierw sroczkę w jej sukience z białych i czarnych piórek, skaczącą przed nim po zwykłej drodze, dalej opuszczone kamieniołomy, wreszcie jakiś wielki, tajemniczy, nieokreślony skarb, który go zaciekawiał i nęcił.

— Jutro od samego rana pójdę do kamieniołomów — obiecywał sobie chłopiec. — A teraz spać trzeba.

Lecz sen nie przychodził. Godziny za godzinami biły na zegarze kościoła, a Michaś leżał z szeroko otwartemi oczami. Dopiero nad ranem zasnął trochę, lecz zbudziło donośne pianie koguta.

Michaś przypomniał sobie swoje postanowienie, zerwał się z łóżka i bez śniadania wybiegł z domu.

Obfite krople rosy, których słońce nie zdążyło jeszcze wypić, pokrywały trawy i krzewy, gdy Michaś śpieszył do kamieniołomów. Zręcznie zeszedł na dół, odsunął osty i ciernie i zobaczył rodzaj małej groty, wydrążonej w kamieniu. Wsunął się do środka, rozejrzał, zbadał każdy kącik, nie znalazł jednak nawet śladu skarbu sroki.

— Zniechęcony, zmęczony i zły na samego siebie powrócił z tej wyprawy do domu.

Ojciec, widząc go tak chmurnym i zmoczonym nie mógł powstrzymać się od śmiechu i zapytał:

— No i jak Ci się powiodło? Czy ograbiłeś z majątku naszą panią srokę?

— Ech, napróżno łaziłem za nią! w skrytce absolutnie nic nie znalazłem — odparł chłopiec.

— Pociesz się, moje dziecko, tem przekonaniem, że skarb sroki nie wiele jest wart i nie zbogaciłby Cię bardzo — żartował ojciec.



— Niech się dzieje co chce, ale ja tam jeszcze powrócę — myślał Michaś.

Nie czekając jutra, tego samego popołudnia poszedł za ptakiem. Przebywali tę samą co wczoraj drogą. Sroka podskakiwała przodem, a za nią ostrożnie szedł Michaś, uważając by jej nie spłoszyć Spuścił się do kamieniołomów i ani na sekundę nie oderwał oczów od ptaka.

Ukryty wśród gęstych cierni i ostów widział srokę drepczącą w jednem miejscu, oddalającą się, powracającą znów i zapamiętale dziobiącą podłogę maleńkiej groty.

— A jednak tu musi być coś schowane, skoro sroka wciąż powraca w to samo miejsce — pomyślał Michaś i wszedł do wgłębienia.

Zauważył wyraźnie, że dziób ptaka zawadzał ciągle o kamień, który zdawał się być przyniesionym z zewnątrz i mocno przywartym do kamiennej podłogi groty.

Michaś wyciągnął z kieszeni składany nóż i zaczął nim podważać kamień. Czynił to przez ciekawość tylko, nie przypuszczał bowiem by sroka mogła podnieść tak ciężki stosunkowo kamień i cośkolwiek ukryć pod nim.

Nareszcie udało mu się podnieść i odrzucić kamień, a wtedy ujrzał małe wgłębienie, w którem znajdował się dość duży worek skórzany. Chłopiec pochwycił go i zdumiony był jego wielką wagą. Wyskoczy z groty i drżącemi rękami rozwiązał worek. Oczy jego olśnił blask złotych i srebrnych monet różnych wielkości.

Michaś zawiązał worek, zasunął go za koszulę i kłusem pobiegł do domu.

— Tato tato! — krzyczał — chodź, zobacz, znalazłem skarb sroki!

Szewc obejrzał zawartość worka, pokiwał głową i rzekł:

— To nie skarb sroki, lecz raczej oszczędności starego Jana i dlatego musimy je zwrócić prawemu właścicielowi.

Znalezione w tak cudowny sposób pieniądze zostały złożone u miejscowego wójta, który doniósł o wszystkiem spadkobiercy z Ameryki.

Ten ostatni odpisał z za morza, że ponieważ sroka doprowadziła Michasia do miejsca ukrytego skarbu by się wywdzięczyć za okazaną gościnę i dobroć, on również całem sercem potwierdza tę darowiznę i prosi by Michaś nadal opiekował się swą skrzydlatą dobrodziejką.



Przygoda w lesie

Lutek pierwszy raz był na kolonji letniej, więc czuł się trochę obco w nowem miejscu i wśród zupełnie nieznajomych dzieci. Wkrótce jednak oswoił się i nawet nie tęsknił za rodzicami i domem.

W dużej sypialni spało 20 chłopców, a najbliższym sąsiadem Lutka był Maryś, starszy od niego o parę lat.

Był to chłopiec duży i silnie zbudowany na swoje dziesięć lat, lubiący się przechwalać i przewodzić nad młodszemi od siebie dziećmi.

Nieśmiałemu i zaledwie siedmioletniemu Lutkowi ogromnie zaimponował swoją wymową, więc Lutek patrzał na niego z uwielbieniem i czuł się bardzo dumnym, gdy Maryś bawił się z nim lub rozmawiał.

Dom, w którym mieściła się kolonja letnia, znajdował się w sosnowym lesie, więc dzieci dnie całe spędzały na świeżem powietrzu. Wychowawczynie nie krępowały ich zbytnio, zabroniły jednak stanowczo oddalać się wgłąb lasu.

Pewnego dnia, zaraz po podwieczorku, gromadki dzieci rozlokowały się wśród lasu.

Maryś z nieodłącznym Lutkiem krążyli wokoło, szukając poziomek i czarnych jagód.

— Figę tu znajdziemy — rzucił nagle Maryś — możesz oczy wypatrzeć, zanim co znajdziesz. Las wydeptany, więc musiałyby chyba jagody skryć się pod ziemią, żeby ich dzieci nie spostrzegły i nie zerwały.

Lutek, nie wiedząc co odpowiedzieć, pytający wzrok utkwił w twarzy towarzysza

— Ot, gdybyśmy się wybrali tam daleko, na drugą stronę drogi, napewno znaleźlibyśmy moc różnych jagód.

— Kiedy Pani nie pozwala przechodzić przez drogę i oddalać się od siebie...— szepnął nieśmiało Lutek.

— Właśnie nie wiem, co jej przyszło do głowy. W zeszłym roku byłem na tej samej kolonji, ale panie były inne i pozwalały nam chodzić gdzie nam się podobało. To też codziennie z kolegą chodziliśmy na drugą stronę drogi i przynosiliśmy całe kosze poziomek, a pani kierowniczka bardzo była z tego zadowolona.

— Chodziliście sami? — zapytał z niedowierzaniem Lutek. Maryś znalazł się w kłopocie. Trudno mu jednak było cofać własne słowa i zamiast wzbudzać podziw, przyznać się do kłamstwa, więc tonem pewnym siebie rzucił:

— Naturalnie!

— I nie baliście się?

— Czego? Jak będziesz starszy i zaczniesz uczyć się geografji, dowiesz się, że u nas niema ani lwów, ani tygrysów, a nawet wilka nie tak łatwo jest spotkać.

Lutek nie wiedział do czego zmierza Maryś, więc milczał i czekał na jawną propozycję.

Maryś przystanął, popatrzył uważnie na Lutka i rzekł:

— Jeżeli nie jesteś babą i umiesz trzymać język za zębami, zabiorę cię z sobą na jagody, zgoda?

Lutek twierdzącą skinął głową.

— Nie traćmy więc czasu i pędźmy do drogi.

W tej chwili do uszów chłopców dobiegł głos ich wychowawczyni:

— Dzieci, proszę się nie rozchodzić. Zaczyna się chmurzyć i może być burza.

Maryś spojrzał ku wierzchołkom drzew i rzekł z powagą:

— Nie wiem skąd tak na zawołanie przyjdzie burza? Nasza Pani wiecznie czegoś się lęka i radaby trzymać nas przy sobie na sznureczkach. Idziemy, czy nie?

Przemykając się pomiędzy drzewami, chłopcy, niezauważeni przez nikogo, przebiegli szosę i znaleźli się w gęstym lesie.

— A co, nie mówiłem! Patrz, ile tu poziomek! Ponieważ nie mamy ani koszyczków, ani garnuszków, najemy się przynajmniej do syta. Zawsze owoce, zbierane przez siebie, lepiej smakują, niż podane na talerzyku— mówił Maryś, zbierając poziomki i pakując do ust pełne garście.

Lutek nigdy w życiu nie widział takiej ilości rosnących poziomek, więc, nie namyślając się długo, poszedł za przykładem Marysia i zajadał uzbierane jagody.

Zadowoleni, że wyprawa tak dobrze im się udała, chłopcy posuwali się coraz dalej, nie zwracając żadnej uwagi na kierunek.

Tymczasem nad lasem gromadziły się ciężkie, czarne chmury. Pochyleni nad poziomkami chłopcy nie zauważyli, że w lesie zaczęło robić się prawie ciemno.

— Jak czas prędko leci! Marysiu, już noc, wracajmy — rzekł Lutek.

W tej chwili silna błyskawica oświet-

liła las. Towarzyszył jej długi, przeciągły grzmot.

Lutek zatrząsł się, zbladł, lecz bez słowa ujął rękę Marysia. Zanim ten ostatni zdążył coś powiedzieć, nowe błyskawice rozdzierały niebo, oślepiającym blaskiem przebiegały przez las i ginęły momentalnie, a wśród drzew daleko rozbrzmiewały echa bliższych i dalszych piorunów.

Zwykle tak pewny siebie Maryś stracił zupełnie głowę, przytulił się do Lutka i wybuchnął głośnym płaczem. Zaskoczony tem zachowaniem się towarzysza, mały Lutek w jednej chwili poczuł nad nim przewagę, i panując nad przerażeniem, zaczął go uspakajać.

Wkrótce burza przestała się srożyć, nie było więcej błyskawic, zamilkły pioruny i spadł gęsty, kroplisty deszcz.

Chłopcy schronili się pod wysokie drzewo, przycupnęli tuż koło pnia i siedzieli cichutko. Maryś płakał jeszcze, lecz spokój Lutka widocznie działał na niego kojąco, gdyż po chwili otarł rękawem bluzki zapłakane oczy i nawet uśmiechnął się do niego.

Tymczasem letnia ulewa zatrzymała się z taką samą szybkością, z jaką spadła na ziemię. Na trawkach i listkach drżały jeszcze kropelki deszczu, gdy wśród gałęzi drzew błyszczały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Chłopcy wysunęli się z pod drzewa i uważnie rozejrzeli się wokoło. W tem coś poruszyło się pomiędzy młodemi sosenkami i ukazała się postać starej kobiety, niosącej dwa duże kosze, do połowy napełnione czarnemi jagodami.

Wieśniaczka podeszła do dzieci i zapytała:

— Co wy tu robicie, chłopcy? Widzę, że zmokliście porządnie, bo z ubrań woda aż kapie!

— Jesteśmy z kolonji letniej, proszę pani, poszliśmy na jagody i zaskoczyła nas burza, a teraz nie wiemy, w którą stronę iść mamy, by trafić do domu.

— Pewnikiem uciekliście w las bez pozwolenia, a te biedne kobiety, które nad wami mają opiekę, ręce łamią z rozpaczy i niepokoją się o wasz los. Czy to godzi się tak odpłacać za ich trudy i starania? Chodźcie ze mną, doprowadzę was do waszych opiekunek, okurat idę z tę stronę.

I poszła babusia przodem, łając małych zbiegów, a oni nie bronili się wcale, gdyż rozumieli, że zawinili bardzo.

Gdy byli już blisko domu, Maryś nagle rzekł:

— Słuchaj, Lutek, biorę wszystko na siebie i zaraz przyznam się pani kierowniczce, że to ja zaciągłem cię do lasu.

A gdy Lutek usiłował przekonać go o swojej winie, dodał:

— Jesteś porządny chłopak! Zawstydziłeś mnie w lesie, więc już nigdy nie będę ci blagował i chcę być twoim przyjacielem.

M.

